

Upalna niedziela obezwładniała nas żywicznym aromatem. Nagrzany słońcem piasek, posypyany uschniętym igliwem uwierał i parzył bose stopy. Tu i ówdzie pod niezbyt wysokimi sosnami wyrastały fikuśne chatki obite kolorowanymi, pilśniowymi płytami. Na skraju zasiedlonego lasu teren obniżał się nieco przechodząc w obszerne, ale dość płytkie bajoro o mulistym dnie. Leśna cisza kończyła się na piaszczystym brzegu zalewu ustępując krzykom i piskom taplającej się w obłędnie ciepłej wodzie wesołej gromady. Marek prowadził nas – ojca i braci – do nabrzeżnej wypożyczalni łódek, rowerów wodnych i kajaków. Nasz tata wybrał dość obszerną, wyglądającą na stabilną łódkę. Wzięliśmy też dwa solidne wiosła. Wylegiwanie się w fabrycznych ośrodkach wypoczynkowych było wtedy przywilejem tak zwanej klasy robotniczej. Nasz Marek jako świeżo pasowany proletariusz, po ukończeniu prestiżowego liceum, zatrudniony na fizycznym etacie w fabryce Chemicznej, został dopuszczony do korzyści spędzenia urlopu w kempingu, nad zalewem w Sielpi. Dumny z nowego statusu zaprosił rodzinę na niedzielny piknik. Średni brat był niesłychanie ambitny. Zdarzało się - nie, nie dwa – że nie bez racji obnosił się ze swoją wiedzą i erudycją. Przykre to czasem bywało dla otoczenia, dla bliskich też. Często jednak ta jego uszczypliwa złośliwość znikła bez śladu ustępując miejsca może szorstkiej, lecz niekłamanej życzliwości. Tak było tamtego, pamiętnego dla mnie dnia.

Rozebrani do slipów płynęliśmy sobie ową łódką, wypożyczoną za niewielką opłatą według stawki godzinowej. Na niezbyt dużym jeziorze ruch był nieco tylko mniejszy niż na lokalnym targowisku. Co rusz mijali nas młodzi ludzie na wywrotnych kajakach, bywały też pary pedałuące na wodnych rowerach. Najwięcej kąpiących się taplało się tuż przy brzegach, ale byli też tacy, którzy próbowali swoich umiejętności pływackich na głębokiej wodzie. Letnie słońce wydobywało z ziemi i wody klimat bez troskiej przygody. Trudny do zdefiniowania aromat rozprężonego słońcem zagajnika nasycony orzeźwiającym tchnieniem wody działał jak mocny, naturalny narkotyk. Zdawałoby się, że tak cudowny dzień może się zdarzyć tylko raz w życiu.

Ojciec silnymi posunięciami wiosła prezentował swoją fizyczną ciężyznę. Leciutki uśmiech błdził po jego twarzy. Nic nie mówił, lecz czuliśmy to, że napawa się dumą z posiadania trzech dorosłych, zdrowych i udanych synów. Tę dumę skrywał głęboko w sercu. Nie obnosił się z napęniającą serce satysfakcją. Trudno było usłyszeć od niego pochwałę. Raczej co jakiś czas wypominał nam nasze wady i niedociągnięcia, z nadzieją, że tym sposobem uda mu się zmobilizować nas do pracy nad sobą, do kształtowania naszych charakterów według norm moralnych, które troskliwie pielęgnował i z różnym niestety skutkiem próbował nam wpoić. Teraz w tym szczególnym dniu, w tej niebanalnej sytuacji pozwolił sobie na odrobinę niefrasobliwości, rzadko dotąd okazywanej łagodności i akceptacji. My zaś, będąc tego boskiego dnia w centrum misterium ludzkiej beztroski i radości słuchaliśmy, jakby w oku cyklonu dobiegających od brzegów ściszonych odgłosów orgii ludzkiej radości, składanej w hołdzie naturze za jej wspałałości.

Cała nasza trójka: Wojtek, Marek i ja odczuwaliśmy potrzebę popisania się przed tatą swoimi umiejętnościami. Ojciec świetnie pływał, więc uznaliśmy, że spróbujemy mu zaimponować nurkowaniem. Mnie, jako najstarszemu z braci przypadło pierwsze zejście pod powierzchnię wody. Skoczyłem zanim strach mógłby przeszkodzić mi w zaimponowaniu braciškom. Poczułem na wargach niezbyt przyjemny smak brunatno-zielonej wody. Było dość głęboko. Poczułem blisko muliste dno. Z całej siły pchnąłem wodę

rękami i nogami i wtedy właśnie zsunęły mi się zbyt luźne majtki i oplątały nogi w kostkach. Co nieco wystraszony usiłowałem uwolnić się z przypadkowych pęt. Nie odzyskawszy ubioru wynurzyłem się kilka metrów od łódki. Dopłynąłem do brzegu trzymając się przemiennie, to burty, to rufy. Nie wychodziłem z wody póki Marek nie przyniósł mi ze swej wczasowej kwatery zapasowych spodenek. Defilada w adamowym stroju na zatłoczonym kąpielisku mogłaby się zakończyć kosztownym występem przed kolegium do spraw wykroczeń.

Z głębi przybrzeżnego biwaku dochodziły płynął ku wodzie mocny wokół Maryli Rodowicz.

Jada wozy kolorowe taborami ej, Cyganie, tak bym chciała jechać z wami, będę sobie mieszkać kątem przy muzyce, będę słuchać opowieści starych skrzypiec, ciepłym wiatrem wam podszyję stare płótno, co mi dacie, żeby już nie było smutno mi?

Ta nastrojowa melodia do tęsknych strof Jerzego Ficowskiego jeszcze po latach skłaniała mnie do rozważań nad mrocznymi ścieżkami ludzkiego losu. Nadmierny luz w moich majtkach mógłby mocą zwykłego przypadku zyskać potężną siłę sprawczą, która nie tylko zakończyłaby już wtedy moje życie, likwidując a priori wszystko co wydarzyło się później w moim życiu. Jednocześnie ten zwykły przypadek, który mógł się ziścić przez moją osobę mógłby „wygumkować” z przyszłości ciąg zdarzeń w życiu innych ludzi, których koleje losu potoczyły się pokierowane siłą sprawczą mojego istnienia i podejmowanych przeze mnie decyzji.

Kopiowanie tekstów, obrazów i wszelkiej twórczości użytkowników portalu bez ich zgody jest stanowczo zabronione. (Ustawa o prawie autorskim i prawach pokrewnych, Dz.U. 1994 nr 24 poz. 83 z dnia 4 lutego 1994r.).

wdajcz, dodano 25.02.2023 09:20

Dokument został wygenerowany przez www.portal-pisarski.pl.